



# Liliana Bodoc - Saga o Rubieżach. Fragment

## 2

*Fahrenheit Crew*

### Noc wojownika

Dulkancellin nie mógł spać, choć noc była wyjątkowo cicha, a na ostatnich czystych skrawkach nieba świeciły gwiazdy. Życie na Rubieżach pochowało się w swoich norach i nawet odległe pomruki burzy stanowiły jedynie nowy rodzaj ciszy.

Wojownik zamknął oczy, czekając nadejścia snu. Obrócił się w stronę lasu; w stronę ściany, o którą oparł topór. Nie chciał wspominać wydarzeń tego dnia, choć długo jeszcze miał rozpamiętywać odgłosy bębnow i próbować zrozumieć ich przesłanie. Pamiętał dawne słowa babci Kush o tym, że sen nigdy nie idzie tam, gdzie go wołają, a zawsze w to miejsce, gdzie go lekceważą. Spróbował więc go zignorować i zajął się rozróżnianiem oddechów szóstki śpiących w pokoju osób. Nim jednak zdążył się przekonać, czy staruszka miała rację, usłyszał jakiś hałas, który wydawał się dobiegać od strony wielkiego orzecha rosnącego w połowie drogi do lasu. Błyskawicznie i bezszelestnie wstał, by już po chwili znaleźć się za drzwiami z kamiennym toporem w jednej, a tarczą w drugiej dłoni. Przez moment stał bez ruchu, a gdy już nabrał pewności, że nikogo nie ma tak blisko, by mógł wejść do domu, gdy on oddali się w poszukiwaniu źródła hałasu, ruszył wzdłuż ściany budynku. W pobliżu jej krańca gwałtownie zmienił rytm i jednym susem przeskoczył za róg. Nie można jednak powiedzieć, by doświadczony wojownik tym razem uniknął zaskoczenia.

Między domem a lasem, pozornie bez ładu i składu, wirowały dziesiątki wymachujących świecącymi ogonami Lulków. Wszystkie miały usta ułożone jakby do gwizdu, lecz w powietrzu nie unosił się żaden dźwięk. Dulkancellin szedł w ich kierunku, póki nie dostrzegły go pierwsze stworzenia, a gdy to nastąpiło, wszystkie po kolei pobiegły ku najbliższym drzewom i stamtąd obserwowały go bez mrugnięcia żółtymi oczami. Tylko jeden bardzo stary Lulek, którego z racji mroku i odległości wojownik nie widział zbyt dokładnie, zrobił kilka kroków w jego stronę i rachityczną rączką wskazał na zachód.

Spojrzenie Dulkancellina podążyło za jego gestem. Morze Lalafke widywano z domu jedynie w pogodne letnie dni, a nawet wtedy stanowiło zaledwie niewyraźny kontur, który tylko na chwilę wyłaniał się ponad horyzont. Teraz jednak, obróciwszy głowę, wojownik zobaczył dotykające nieba wzburzone wody, pędzące, by pożreć jego dom, las, życie. Wydał przeciągły ryk i instynktownie uniósł tarczę, lecz morze zamiast spaść na niego, zatrzymało się i otwarło, wypuszczając wprost na grządki w ogrodzie babci Kush strumień bezbarwnych ludzi na grzbietach ogromnych zwierząt z grzywami. Byli daleko i blisko zarazem, a ich stroje mimo pędu nie powiewały na wietrze. Dulkancellin cofnął się po raz pierwszy w życiu.

W powietrzu narastał nieznośnie przenikliwy świst. Poprzez przejrzystych najeźdźców wojownik ujrzał krainę śmierci. Kilka jeleni o zdartej skórze dogorywało w popiele. Z drzewek pomarańczowych opadały zepsute owoce. Kupuka szedł do tyłu, a jego ręce pozbawione były dłoni. Skądś dobiegał przypominający ponury śpiew ptaka płacz Wilkilén, a zza chmury pyłu patrzyła na Dulkancellina pokryta czerwonymi plamami Kuy-Kuyen.

Wojownik zbudził się gwałtownie. A więc sentencja babci Kush znów się sprawdziła. Topór wciąż stał oparty o ścianę i nic nie przerywało nocnej ciszy.

Dulkancellin przypomniał sobie, że dziś święto. Zbliżał się świt. Wkrótce jego matka wstanie, by rozpalić ogień i rozpocząć codzienną krzątanie.

Okryty skórzanym płaszczem opuścił dom, nie mogąc się pozbyć wrażenia, że robi to już po raz drugi tej nocy. Na zewnątrz zastał znajomy świat. Wojownik oddychał głęboko. Noc powoli ustępowała miejsca posępnej szarości, na którą od południa nachodziła inna szarość, lita niczym skała.

Włosy Dulkancellina były związane wysoko na czubku głowy, jak u Husihuilków, którzy szli do boju lub oddawali się ćwiczeniom fizycznym.

Przemierzając odległość dzielącą go od lasu, śpiewał pieśń znaną tylko wojownikom – pieśń, którą każdego ranka budzili uśpioną w nocy krew, przysięgając przelać ją w boju.

Gdy dotarł do wielkich drzew, zdjął płaszcz i położył go na korzeniach. Zgiął się niczym młoda trzcina, przebiegł przez chwasty, jednym susem pokonał dystans, jaki w skoku pokonuje jaguar, wdrapał się na niewiarygodną wysokość, w końcu zwisał z gałęzi tak długo, póki nie opadł z sił. W drodze powrotnej zabrał swój płaszcz i trochę pestek do żucia.

Po stracie Shampalwe stał się milczący i oschły. Wcześniej mówiono o nim, że walczy bez strachu przed śmiercią. Teraz narzekano, że czyni to bez miłości do życia.